№ 39. Warszawa, dnia 13 (25) Września 1886 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

OD REDAKCYI.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie. . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25
Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50
Rocznie . . . . . rs. 5

Nadmieniamy wreszcie, że przez Prenumeratorów tak Tygodnika Mód jak i Przyjaciela Dzieci, wychodzące zbiorowe wydawnictwo wszystkich dzieł A. Wilczyńskiego, autora **Kłopotów starego Komendanta**, po zniżonej cenie może być nabywane z opłatą za tom kop. 60. Dotąd wyszło ich 16. We wszystkich mieszczących się w nich opowiadaniach widnieje szczery, niewymuszony, prawdziwie staropolski humor, z ową wrodzoną nam dobrodusznością, nader zręcznie przedstawioną.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Chmielnej** Nr **26.**

STULETNI JUBILEUSZ URODZIN CHEVREULA.

W chwili gdy to piszemy, w całym Paryżu rozlega się echo oklasków na cześć wielkiego chemika Chevreula. Wszystkie wydziały akademii, wszystkie przemysłowe stowarzyszenia, składają mu gorące hołdy. Od trzech dni powtarzają się uczty dla stuletniego jubilata, tryumfalne pochody z latarniami, widowiska w operze i teatrach, koroną tych uroczystości inauguracya posągu w muzeum nauk przyrodniczych. Wszystko to przeplatane setkami mów i poetycznych zwrotek, muzyką i chórami. Serce Paryża uderzyło silnem tętnem, prawdziwa zasługa odniosła najwspanialszy tryumf.

Nie zamierzamy bynajmniej pisać życiorysu uczonego starca, nie naszą rzeczą wymieniać olbrzymie jego prace na polu naukowem, a szczególniej w dziedzinie chemii organicznej. Na samo obliczenie napisanych przez niego dzieł i rozpraw, obszerne wydawnictwo Didota *La Biographie generale*, ukończone w roku 1863, poświęciło pięć wielkich kolumn, a ileż to prac przybyło od lat z górą dwudziestu? Pragniemy tylko w kilku zarysach dać poznać znakomitą osobistość uczonego przyrodnika, który w ciągu nieprzerwanej ośmdziesięcioletniej pracy, przyczynił się wielce do postępu nauk chemicznych i do rozwoju przemysłowego, za co wdzięczny kraj uczcił go dziś najsłuszniej zasłużoną apoteozą.

Eugeniusz Chevreul, przyszedł na świat w mieście Angers, 31 Sierpnia 1786 roku, jak pokazuje dochowana metryka. Ojciec jego, biegły lekarz, umarł w późnym wieku, mając lat 95, matka przeżyła z górą lat 90.

W jedenastem roku życia, chłopiec rozpoczął szkolne nauki; ukończył je w ciągu lat sześciu. Wrodzony popęd wiódł go do badania języków umarłych i do archeologicznych poszukiwań. Szcze-

gólne zamiłowanie języka greckiego, rozbudził w nim pleban wiejski, uczony helenista.

Ale praktyczny ojciec zatrzymał gwałtem te filologiczne popędy i zwrócił syna ku naukom zastosowaném do przemysłowego rozwoju.

Podczas kiedy wielki dramat dziejowy, rozegrał się na wszystkich krańcach Europy, kiedy po największych tryumfach francuzkiego oręża, spadały na Francyą najstraszliwsze klęski, młody Chevreul ukończywszy nauki specyalne w Paryżu, wykładał z katedry chemią organiczną, a zagrzebany w laboratoryum, obmyślał coraz to nowe wynalazki, które jeśli nie miały zmienić postaci świata, miały jednak sprowadzić przewrot na polu przemysłowem.

Dość nam tu wspomniéć wynalazek stearyny i obmyślenie całej gammy nowych farb, na pożytek przemysłu i sztuk pięknych.

Obok tych prac pełnił Chevreul pilnie obowiązki gwardzisty narodowego. Opowiada sam, jak 20 Marca 1814 roku stał na warcie przy pałacu tuilleryjskim. Nagle powstaje głuchy szmer, zmienia się w coraz głośniejszą wrzawę. Cesarz! cesarz! woła tysiące głosów. Jakoż Napoleon przybył niespodziewanie z wyspy Elby i zajął opuszczony niedawno pałac. Na widok cesarza, Chevreul jakby piorunem rażony wypuścił z rąk karabin.

Wówczas już biegły chemik mieszkał w Muzeum przy ogrodzie botanicznym, gdzie miał swoje laboratoryum. Od lat siedmdziesięciu sześciu przyrosł niejako do tych murów. Wkrótce potem mianowany był dyrektorem farbiarni i profesorem w zakładzie Gobelinów. Sześćdziesiąt lat temu został członkiem akademii nauk i to jednym z najczynniejszych. Obliczono około czterysta jego rozpraw, drukowanych w buletynach akademii.

Ważna praca naukowa o ciałach tłustych, pierwiastku zwierzęcego, drukowana w roku 1823, otworzyła świat nowy przemysłowcom i stała się w krótce złotą dla nich kopalnią. Autor dzieła tymczasem, ćwierć wieku czekał na zasłużoną nagrodę. Otrzymał ją nakoniec od akademii, w ilości 12,000 franków. Wręczając mu ją, słynny chemik Dumas, wyrzekł pamiętne słowa: „Plony wynalazków twoich, obliczyć wypada na setki milionów, świat cały zajmuje się ich realizacyą, a w zastosowaniu ich znajduje nowe źródła zdrowia i dobrobytu.”

Nad tem dziełem o ciałach tłustych, pracował Chevreul lat dziesięć. Letnie miesiące wakacyi spędzał wówczas z młodą żoną, w bliskości rodzinnego miasta Angers, w wiosce nad Loarą. Dnie całe przesiadywał nad brzegiem rzeki z wędką w ręku. Przy nim siadała żona, pełniąca obowiązki sekretarza. Chevreul dyktował bezustanku, żona chwytała w przelocie każde słowo, tym sposobem powstała księga olbrzymiego znaczenia.

Później, gdy rosnące zajęcia nie pozwalały mu na dalekie wycieczki, nasz chemik najął dom letni na wsi za obrębem Paryża. Co dzień po skończonej pracy w laboratoryum, puszczał się pieszo do tego domku, gdzie żona wyglądała go z upragnieniem. W roku 1862, stracił tę ukochaną towarzyszkę. Odtąd nie śmiał przekroczyć nigdy progów, które nasuwały mu tyle wspomnień. Dom letni darował jedynemu synowi. Ów syn dziś już siedmdziesięcioletni, z białą jak śnieg brodą żyje dotąd, zamieszkał oddawna w Burgundyi, w bliskości własnych dzieci i dorosłych już wnuków. Stuletni Chevreul kocha serdecznie te prawnuki. Ich odwiedziny sprawiają mu żywą uciechę. Gdy odbiera list od nich, oko starca promienieje radością.

Te drobne literki, powtarza ukazując list przyjaciołom, oto cudowny eliksir, co mnie utrzymuje przy życiu.

Kiedy Niepie odkrył fotografią wraz z Dagierrem, Chevreul zrozumiał odrazu wielką doniosłość pomysłu i skłonił akademią do paparcia wynalazków. Nazwano go ztąd ojcem chrzestnym fotografii. Mimo to, nie pozwolił nigdy odtworzyć rysów swoich. Trwało to do roku 1883. W końcu jednak, dziewiędziesięcioletni starzec zmuszony był ustąpić. W żywy sposób opowiada, mimowolną tę kapitulacyą.

„Wsiadałem właśnie do powozu, spiesząc na posiedzenie akademii nauk, wtem jakiś nieznajomy zbliża się do mnie.

— Panie Chevreul, rzecze, możesz mnie pan prawdziwie uszczęśliwić!

Tłomaczę się, że nie mam chwili czasu, nieznajomy nalega i niepytając czy pozwolę, siada obok mnie w pojeździe.

— Panie! zawołał, w ręku twojem pomyślność moja albo zguba. Jestem fotografem... Cesarz Brazylijski pragnie koniecznie miéć pański portret, jeźli go wykonam, los mój na przyszłość zapewniony!

„W imię Don Pedra, który jest prawdziwie uczonym, a który przysłał mi niedawno order Róży, musiałem rad nie rad ustąpić.”

Ustąpił starzec lecz ze wstrętem. Kiedy jedna z krewnych dopominała się o ten portret, odmówił jej stanowczo.

— Nie dam go, nigdy go nie zobaczysz, zanadto jestem brzydki. Zrobiono próbę na słońcu, płaczę jak mazgaj... powtórzono próbę przy świetle elektrycznem, śmieję się znów szkaradnie.

Przełamawszy jednak pierwsze lody, starzec nie stawiał już oporu. Dziś portrety jego widzimy w oknach wszystkich paryzkich fotografów.

Oddany całe życie naukom przyrodniczém, Chewreul nigdy przecież nie wpadł w materyalizm, nie zatracił w sercu dawnej wiary. Przed laty pięćdziesięciu, jedno z pism ówczesnych, Kuryer francuzki oskarżał go o materyalne dążności, o jakąś indyjską metafizykę. Oskarżenie to dobodło go boleśnie. W trzydzieści pięć lat potem, zaprotestował silnie przeciw temu, na posiedzeniu akademii nauk.

— Nie pojmuję, rzekł, wielkiego faktu życia, bez odniesienia go do pierwszej przyczyny rozumnej. Cudowne jego objawy, niezmienne, łączące się ściśle z harmonią naprzód postanowioną, nie mogą być następstwem ślepego trafu.

Stawia potem Chevreul, najwspanialsze dzieła geniuszu ludzkiego, w obec cudów widocznych w świecie i przychodzi do konkluzyi, że ten świat wiecznie żywy, przechodzący zakres wiedzy ludzkiej, musiał być obmyślany i stworzony potęgą Bożą.

Jakkolwiek zagrzebany w badaniach naukowych, odczuwał głęboko ośmdziesięciopięcioletni starzec, klęski jakie spadły na Francyą podczas pamiętnej wojny pruskiej.

Wymownym na to dowodem list jego z daty 15 Stycznia 1871 roku, pisany do Ryszarda Wallace, który jak wiadomo upamiętnił imię swoje w sercu wdzięcznych Paryżan, przytaczamy ten list w całości:

„W nocy z 8 na 9 Stycznia, zebrało się grono profesorów w Muzeum historyi przyrodniczej, rozmawialiśmy o smutnym stanie kraju, o tak niespodziewanem oblężeniu stolicy. Dziwił nas spokój Europy dziewiętnastego wieku, patrzącej obojętnie na takie widowisko. Ale gotowi raczej cenić szlachetne uczucia, niż puszczać wodze nienawiści, wspominaliśmy kilka imion cudzoziemców z sercem oddanem szczerze Francyi. Z ust naszych razem, wybiegło imię Ryszarda Wallace.

„Parę minut zaledwie upłynęło, kiedy huk nadzwyczajny przerwał rozmowę naszą. Pruska bomba pękła w pobliżu. Cieplarnia dotykająca muzeum zniszczoną została zupełnie. W chwilę potem nowy pocisk zniszczył drugą cieplarnię. Poszliśmy na miejsce zrujnowane wściekłością wroga. Kilka pozostałych kwiatków uderzyło nas w oczy. Przyszło nam wtedy na myśl, uwić z nich wiązkę i posłać ją w hołdzie od profesorów muzeum, Ryszardowi Wallace, którego imię zapisane na czele dobroczyńców miasta Paryża.”

Nazajutrz po zburzeniu cieplarni, na posiedzeniu Akademii nauk. Chevreul złożył deklaracyą, jako świadectwo popełnionego barbarzyństwa, w krótkich ale wymownych słowach. Oto tekst owej deklaracyi.

„Ogród roślin lekarskich, założony w Paryżu edyktem Ludwika XIII, w Styczniu 1626 roku, zamieniony w muzeum historyi przyrodniczej, dekretem konwencyi narodowej z dnia 10 Czerwca 1793 roku, zbombardowany został pod panowaniem Wilhelma I króla pruskiego, za kanclerstwa hr. Bismarka przez wojska pruskie, w nocy z dnia 8 na 9 Stycznia 1871 r. Dotychczas szanowały go wszystkie stronnictwa i wszystkie władze tak cudzoziemskie jak narodowe.”

W kilka dni potem, pocisk pękł w gabinecie Chevreula. Szczęściem nie było go w pokoju, obchodził jak zwykle muzeum, wydawał polecenia. „Odebrałem, mówił on, nagrodę za ścisłość w pełnieniu służby mojej.”

Dziś, kiedy imię Chevreula wybiega z tylu ust, wszystkie pisma poświęcają mu długie kolumny. Na widok tego starca, który jak stuletni dąb przetrwał z nieugiętem czołem tyle burz i nawałnic, niejeden zapuszcza badawczy wzrok w tajniki jego życia, zapytuje czem się karmi i poi, ile czasu poświęca pracy, ile obraca na przechadzkę. Z tych badań pokazało się, że Chevreul prowadzi życie nadzwyczaj umiarkowane i jednostajne. Praca bynajmniej go nie nuży, stała się bowiem konieczną jego potrzebą. Co do pokarmów, tych używa dwa razy na dzień. Rano wypija pół litra kawy, posila się parą jaj i pasztetem z drobiu lub zwierzyny wieczorem je rosół zatarty tapioką i serem, jeden kotlet i deser złożony z owoców, a najczęściej z winogradu, wypija przytem trzy szklanki zimnej wody. Wina nie używa wcale, do mleka i wielu jarzyn ma wstręt niezwyciężony. Nie zakosztował nigdy ryb, mimo że połów ich wędką, należał niegdyś do głównych jego upodobań. Nie przywiązuje on żadnej wagi do przyjętego przez siebie trybu życia, tajemnica jego zdrowia, jak mówi, spoczywa w uregulowanej pracy i wielkiej wstrzemięźliwości. Na czele jednego z dzieł swoich pomieścił taką dedykacyą: „Pamięci Michała Chevreul i Stefanii Bachelier, hołd syna wdzięcznego za dobre zdrowie i zasady moralne, jakie mu przekazali, 31 Sierpnia 1869 r., w ośmdziesięcio trzecioletnią rocznicę mego urodzenia.”

S. D.

SEN.

Niegdyś rozkosze życia były moim hasłem,
Niegdyś ognie zachwytu w mojej piersi wrzały,
Ale teraz gdy wzrokiem popatrzę przygasłem
Na świat, błogie lat zbiegłych nikną ideały.

Dla mnie nie ma już czułej miłości pieszczoty,
Która żywiej porusza krew w młodzieńczem łonie,
Dla mnie słońce straciło na zawsze blask złoty,
Kobieta wdzięk niewieści, a kwiat cudne wonie;

Jam zmalał, sklęsł, ku ziemi pochylił swe czoło,
I nic mi nie zostało z pojęć jasnych zdrowych,
Tylko ruina wspomnień i zaklęte koło
Tych kilku dni istnienia, bezbarwnych, jałowych!

Pragnąłbym tak jak inni i kochać i wierzyć,
Wysnuć z zastygłej piersi pełne wdzięku pieśnie,
Pragnąłbym zacieśniony krąg działań rozszerzyć,
Lecz nie mogę, więc szczęścia szukam tylko we śnie.

Sen to moja pociecha. Kiedy zamknę oczy
I w spoczynku na pościel złożę głowę siwą,
Znika ów cień ponury co świat smutkiem mroczy
I wszech-byt nęci barwą radosną, szczęśliwą...

Wzrok zamdlony lśni blaskiem, młodnieje twarz stara,
Pełnem zdrowia rumieńcem rozkwita oblicze,
Na dnie duszy wyrasta nadzieja i wiara,
Po nerwach biegną prądy życia tajemnicze.

Wszystko błogiej rozkoszy stając się obrazem,
Osierocone serce w skarb uczuć bogaci:
Kobieta, zdrój miłości, przestaje być głazem,
Róża kwiatów królowa kolce swoje traci;

Wykluty z powłók cieśni, rój marzeń motyli
Obsiada mnie dokoła, milknie zawiść podła,
Nawet z ramion bachantek cudem owej chwili,
Strzelają białe skrzydła, czci anielskiej godła.

O śnie, ty co obsiewasz złudnym kwiatem wiosny,
Kraniec mojej pielgrzymki, bezbarwny i mdławy,
Czemuż znikasz gdy promień słoneczka radosny
Zagląda w me okienko i budzi do jawy?

Śmierć jest straszną, lecz gdyby wśród grobów mil-[czenia,
Kędy tylko wrze życiem robactwo złowieszcze,
Mógł człek znaleźć ów urok sennego złudzenia,
Toby w godzinie skonu uśmiechnął się jeszcze!

Ludwik Niemojowski.

MICHAŁ DUNIAK.

NOWELKA

Maryi Konopnickiej.

(Dalszy ciąg.)

Kasia bywała blada, milcząca, roztargniona czegoś, niechętnie zabierała się do roboty i nieraz polewka nie była gotową, gdy ojciec świtaniem powrócił.

Pobłażał jednak Paweł jedynaczce swojej, była sierotą, nie miał serca jej łajać, folgował.

Dziwno mu tylko było, że Kasia nie posiała w ogródku swoim krasnych maczków, ni lawendy, ni ostróżek modrych i że mu się nie wiesza na szyi, prosząc o paciorki lub wstążkę, jak owo dawniej bywało.

— Ot, sumuje czegoś! zwyczajnie sierota, bez matki!

I wzdychał.

Tak przeszło lato, burzliwe w tym roku; pełne piorunów, nawałnic, chmur czarnych, jak noc i oślepiających błysków. Ziemia była rozpaloną; parne powietrze wrzało. Burze biły plony ziemi; do rzeki która się niosła z szumem ogromnym, przystęp był trudny, sieci trzeba było nastawiać z mozołem wielkim.

Stary Goebel dopadkami tylko suszył piękne, jaskrawe pasma wełny swojej; parobek jego chodził chmurny z zaiskrzonemi, jak wilk, oczyma.

W powszechnej trosce o chleb codzienny, zapomniano jakoś o Kasi. Naraz, w jesieni, ludzie przechodzący około chaty Duniaka, posłyszeli głośny, zawodzący płacz kobiecy i krzyk ogromny, drżącego, męzkiego głosu i klątwy i jęki. A w chwilę, ucichło wszystko nagle, znać, opanował się ten gniew wielki i zdusił nadludzką siłą woli, wpół wybuchu.

Ludzie postali, pogadali i rozeszli się zwolna.

Nazajutrz jednak, Kasia nie wyszła z chaty, jak zwykle co ranek, po wodę i odtąd nie widywano jej wcale. Chorą była, mówiono; na pewne jednak nie wiedziano nic zgoła, stary nie puszczał do chaty nikogo, na pytania nie odpowiadał.

Ryby łowił tylko na wędkę, tuż przy domu, drzwi na zaszczepkę zatknąwszy i to tyle tylko, ile sam zjeść mógł, bo na przedaż nie nosił ich do miasta.

Po wodę do studni sam chodził, sam kartofle podbierał i skrobał, sam warzył wieczerzę i obiad, sam chusty prał. Obca noga w chacie nie postała.

Ludziska różnie o tem gadali. Stare kumoszki zwłaszcza w głowę zachodziły, co to ma znaczyć.

Podglądały, podpatrywały, wszystko na próżno, chata była tak szczelnie zamknięta, że para z niej nie wyszła.

Do kościoła nawet Duniak chodzić przestał. On, co dawniej chorągiew niosąc cechową, najtęższym basem śpiewał: „Witaj Królowo!" tak, że aż sklepienia drżały, dziś, jakby zapomniał pacierza, w niedzielne ranki siadywał na progu milczący.

Rudy Franek też ludzi unikać zaczął.

Bywało podejdzie wieczorem pod chatę Duniaka i patrzy i słucha, ale gdy raz i drugi stary pięście ścisnął i warknął jak rozjątrzony brytan i podniósł się z progu, kosooki parobek odchodził w milczeniu, łyskając nieprzyjemnie oczami.

Odpychały się wzajemnie ta duma i ta zawziętość.

Uriela nie było w domu. W przeddzień owego wybuchu w Duniaka chacie, wyjechał z polecenia ojca, do wuja swego, mieszkającego w mieście poblizkim. Żegnając Kasię, mówił jej, że za trzy dni wróci, oddalał się niechętnie, każda godzina bez niej straconą mu była. Tymczasem nie wracał, a Kasia nie wyglądała go nawet okienkiem, chata Duniaka, jak grób zamkniętą była.

Aż jakoś po godach, drzwi jej otwarły się nagle.

W progu stał proboszcz sędziwy, który tu w nocy widać wezwanym być musiał. Stał i oczy ocierał z łez, czy z mgły porannej, patrząc na wschodzące słońce. Po za nim wysunęła się z chaty stara jakaś, nieznana kobieta i otulona w chustę, poszła ku Majdanom leśnym. Stado wron zerwało się z krzykiem, łopocąc ciężko skrzydłami. Domostwa się otwierały, ludzie stawali na progach, sine dymy wiły się gdzieniegdzie z kominów. Proboszcz szeptał modlitwę, potem odwrócił się raz jeszcze, zrobił znak krzyża i opuścił chatę.

W izbie, na tapczanie, pod ścianą, leżał trup pięknej Kasi, z dwoma wielkiemi, nie zastygłemi jeszcze łzami, u spuszczonych rzęs ciemnych.

Duniak stał nad tapczanem osłupiały, nieprzytomny, śniady jakiś dziwnie na twarzy, z załamanemi kościstemi rękami, niepatrzący na ludzi, co się tłoczyć poczęli do izby tłumnie, wynagradzając sobie tak długo powstrzymywaną ciekawość.

Zdawało im się, że tu ujrzą dziw jakiś, tymczasem, nic niezwykłego w izbie nie było. Śmierć i boleść, nie są przecież rzeczą niezwykłą na ziemi.

Popatrzyli, pomodlili się, ten i ów westchnął i odeszli do pracy codziennej. Ojciec ten zmartwiały, milczący, został sam z trupem jedynaczki swojej. Słońce tylko ulitowało się tego siwego sieroty i przyszło mu świecić do izby ciemnej i zimnej, jednym z tych promieni, które w końcu lutego zapowiadają już wiosnę.

Pogrzeb Kasi odbył się cicho i spiesznie. Ojciec nie dał jej tknąć nikomu, sam w trumience ułożył ją, jak dziecko; sam ubrał, sam zaplótł warkocze, sam powiózł na cmentarz. A gdy powrócił, chusty i tapczan spalił; stołek pchnął nogą aż się rozleciał, a potem, noc całą przesiedziawszy na progu, wstał rankiem, otrząsnął się, przetarł oczy i przybrawszy się niewiele do drogi, chatę, jakeśmy mówili, zaparł i w świat, precz poszedł.

* * *

Na farbiarni cicho było tymczasem. Jesienią jeszcze, zaraz po owym w chacie wybuchu, zaszedł był stary Duniak do Goebla, którego zastał przy robocie, w półkożuszku, w klapiących łapciach, z krótką fajeczką w zębach, przed progiem.

— Gdzie syn wasz? — ochrypłym zagadnął głosem.

— Nu! gdzie ma być?... w mieście jest...

Duniakowi twarz gniewem zaszła.

— Nie sądzono mu... — mruknął gwałtownie przez zaciśnięte zęby; a potem chwycił Goebla za kołnierz i wrzucił go niemal do izby; sam za nim wszedł i drzwiami trzasnął. Co mówili z sobą nikt nie wie. Słychać tylko było stłumiony, wściekłością rwący się w piersi głos starego rybaka i jękliwe: „o weh mir!... o weh mir!..." żyda.

I wówczas nawet, gdy Duniak wyszedł w płomieniach cały, z zaciśniętemi pięściami i ostatnią na ustach klątwą, farbiarz nie przestawał jęczeć i wyrzekać i targać się za pejsy i brodę, kiwając się w tył i naprzód a lamentując głośno.

Dopiero nocą już prawie wywlókł się z izby, zaszwargotał z parobkiem, pomagając mu spiesznie konia do wózka zakładać, wdział na siebie chałat pikowany, a usiadłszy w głębi wózka, na worku z obrokiem, nerwowym ruchem targnął lejce, wysoko wywijając batem skręcił w stronę najbliższego miasta.

Kurzawa podniosła się na drodze i zakryła wózek, długo jednak jeszcze parobek patrzący za nim z wykrzywioną brzydkim uśmiechem twarzą, sły-

szał jękliwy głos w cieniach nocy i skargi spazmatyczne starego Goebla.

Pod samem miastem dopiero, u celu już drogi swej, uciszył się farbiarz.

Poprawił jarmułkę, bat przełożył w drugą rękę, splunął i z pozornym spokojem zajechał do szwagra, u którego Uriel w odwidzinach od dwu dni bawił.

Młody chłopiec zobaczywszy ojca i szkapę zziajaną poczerwieniał, otworzył usta, chciał pytać się o coś, ale nie śmiał.

Stary powitał go spokojnie, w oczy mu jednak nie patrząc, konia mu oddał, napoić kazał i obrok zasypać, a sam, ze szwagrem, który tu bławatny sklep trzymał, do alkierza szedł na rozmowę.

Do świtu prawie słychać było zapalczywy szept dwóch głosów, zachłystujących się i przemagających kolejno.

Urielowi, który w obocznej izbie na ławie zasnąć probował, zdawało się, że odróżnia chrzęst rozwiązywanego trzosa i liczenie pieniędzy.

Potem ucichło jakoś, a zalkierza wyszedł kupiec bławatny, pas gładząc. Przymrużonemi oczyma spojrzał na Uriela z uśmiechem, odchylającym piękne, wypukłe wargi i przeszedł dyskretnie mimo ławy na palcach, skrzypiąc świecącemi butami.

Za nim wysunął się stary Goebel, z zafrasowanem obliczem, syna zbudził i zaprzągłszy z nim szkapę, pożegnał go uściskiem długim, gorączkowym jakimś i siadłszy na wózek, jechał precz do domu.

Uriel, wytrzymać już dłużej nie mogąc, rzucił się z pytaniami do wuja... Przeczuwał niebezpieczeństwo jakieś dla siebie, było mu tak, jakby w wodę szedł, nie wiedząc, jak głęboko.

Wuj atoli, długo nań drwiąco jakoś w milczeniu patrzał, aż naglony, rzekł:

— Nu! co ma być? stary tobie żonę wyszukał.

Chłopiec głowę spuścił, oczy mu zaszły jakąś mgłą wilgotną, w gardle mu zaschło, przełknął ślinę, zachłysnął się i milczał.

Wuj też, czy ulitował się nad zmieszaniem jego, czy rad był, choć krótkiemu jeszcze spoczynkowi w betach usłanych wysoko, rozmowy nie przedłużał i kołysząc lekko swoją okazałą postać, z powagą do alkierza szedł.

Chłopiec czas jakiś stał, jak martwy. Aż, gdy turkot wózka ucichł na drodze, a z alkierza dolatywać poczęło lekkie, nosowe chrapanie kupca bławatnego, uczuł się nagle tak samotnym, tak opuszczonym, że za ojcem biedz chciał i u progu dopiero opamiętawszy się, zawrócił, na ławę padł z załamanemi nad głową rękami i w poczuciu bezsilności swojej, gorzko zapłakał, jak dziecko łkając cicho i żałośnie.

Tymczasem stary Goebel do farbiarni wrócił i pracy się gorączkowo chwycił, jakby dla zagłuszenia się. Był niezmordowanym, od roboty rąk nie odejmował, grzbietu nie prostował, oczu nie podnosił, ust nie otwierał.

Czasem tylko, gdy spojrzał na zamkniętą chatę Duniaka, który okienko wychodzące na farbiarnię deskami zabił, a w progu siadywał sam, zagradzając do niej wejście szerokiemi swemi barami, Goebel trząść się poczynał, z rąk puszczał cebrzyki swoje i chwytając się za siwą głowę, jęczał ścicha: „o weh mir!”

Dopiero pod wiosnę uciszył się jakoś, po owym pogrzebie Kasi, gdy stary Duniak z uczu mu zeszedł, precz w świat idąc.

Odkąd chata rybacza, kołkiem zaparta, zupełnie osamotnioną została, zdało się, że farbiarzowi ciężar jakiś spadł z serca.

Raźniejszy już, pojechał na wesele jedynaka swego, który dostał pannę z bogatego domu i ze znacznej jak mówiono, familii.

Przeszłość zdawała się coraz dalej i dalej uchodzić. Cień jej zaledwo majaczył w wiosenne noce nad zapadniętą mogiłką Kasi i opuszczoną chatą rybaka.

Czasem tylko, przeszłość ta, rzucała długie spojrzenie swych zamglonych oczu, w serca tych, co przez nią żyli, czuli, radowali się i cierpieli.

Wszystko zdawało się obracać na dobre; farbiarnia przynosiła coraz większe zyski.

Kosooki, rudy Franek tęgim był pomocnikiem, i choć od śmierci Kasi pić począł, choć po nocach włóczył się niewiadomo gdzie i poco, rankiem przecież stawał do roboty pilno, nie dając nigdy wołać jakoś na siebie.

Przy farbiarni się trzymał i choć mu indziej większe obiecywano zasługi, trwał tu, jakby wyczekując czegoś.

Goeblowi miłym był ten towarzysz milczący, chmurny, dyskretny.

Nie wytrzymałby pewno z oczajduszą jakim, coby na muzykę latał, za dziewczętami patrzał i plótł co ślina przyniesie.

Jego boleść, zabliźniona zaledwie, potrzebowała tego otoczenia ciszy, choćby to była cisza przed burzą.

Raz do roku syna odwiedzał, zabawił dzień, dwa i wracał sam do swoich motków z wełną.

Tak przeszło lat cztery.

Pod wiosnę jakoś, stary farbiarz niedomagać począł. Wysechł, pożółkł; zadychiwał się częściej coraz, postarzał i w oczach nikł prawie. Wreszcie nie podniósł się już wcale z posłania. Do konającego zlecieli się krewni.

Uriel przybiegł najpierwszy, żonę w domu zostawiając i od zmysłów niemal odchodząc z żalu.

Kochał on ojca, a przytem, czuł się może względem niego winnym... któż to wie?

To pewna, że od czasu owego widzenia się w domu wuja i owych łez przelanych na ławie twardej, podczas szarego brzasku dnia jesiennego, Uriel, jakby sam osądził się i skazał, tak cichym był, tak powolnym dla wszystkich, tak bezwładnym niemal. Jakaś apatya złamała tę namiętną lecz nieposiadającą żadnego hartu duszę. Do rodziców wybranej panny bez oporu zawieźć się dał, obracał się i mówił, jak mu kazano i chociaż na weselu blady był i drżący tak, jakby to kaźni godzina była, ani jednem słówkiem nie przerwał długich obrzędów i nie zdradził swojej niechęci.

Po weselu zamieszkał w domu teścia i oddał się pracy, cichy, powolny, milczący, rozczarowany jakby. Czy był lubionym, trudno to powiedzieć, obojętnym był i obojętność też wywoływał może. Mało go zresztą znać było w tym domu. Zadumywał się często, po kątach siadał. Teść jego kiwał głową lecz milczał. Żona za to rzucała mu błyskawice niecierpliwych spojrzeń, rozrządzając nim jakby martwą rzeczą jaką.

Największe łaski miał u teściowej, ta, jedno mu tylko miała do zarzucenia. Cztery lata mijały już od hucznego wesela Hany, a przecież nie była ona dotychczas matką.

Mimo to jednak, Uriel był dla starej teściowej Beniaminkiem jakby.

Tłomaczyła go nawet nieraz w tej drażliwej kwestyi, nad którą bolała sama, przed sąsiadkami swojemi.

— Takie delikatne... — mawiała z przymrużeniem małych swych, siwych oczu i z pewnem znaczącem skrzywieniem ust, które jej się zdawało dystyngowanem bardzo.

Otóż, kiedy po pogrzebie ojca, Uriel odprawił bosiny we łzach i poście, jak na pokutnika przystało, wywabiony szumem wezbranych wód wiosennych, na progu farbiarni stanął i spojrzał przed siebie.

Chata Duniaka stała tam, w miesięcznych blaskach, jak grób cicha, pusta, zaparta...

Uriel zakrył oczy rękami.

Zdawało mu się, że ujrzał widmo białe, milczące, a jednak pełne wymowy namiętnej.

I zdawało mu się, że widzi Kasię, świegocącą na przełazku, jak ptak i jak ptak zraniony, spadającą z połamanemi skrzydły, głęboko pod ziemię...

Echo przyniosło piosenkę jakąś z za rzeki.

Zasłuchał się, wspomnienia poczynały go chwytać potężną siłą. Nie czuł gdzie jest i co się z nim dzieje.

Przeszłość lat czterech minęła dla niego jak sen, zdawało mu się, że lada chwila ujrzy pstrokatą sukienczynę Kasi i jej długie, miękkie warkocze, na ramiona niedbale spuszczone.

Wstrzymał oddech, żeby jej nie spłoszyć, zapatrzył się, jakby olśniony, w przestrzeń daleką.

Naraz drgnął. Szybkie, czające się kroki w pobliżu, wyrwały go z zadumy tej czarów pełnej.

Spojrzał, przed nim stała stara, zgarbiona wieśniaczka, przebierając suchemi palcami, jakby w zakłopotaniu jakiemś.

Stała i milczała, nie wiedząc, jak go na razie pozdrowić.

Zwykle mawiała ona do ludzi: „pochwalony” to był żyd jednak, nie godziło się.

Milczała więc chwilę, nareszcie podeszła bliżej i odchrząknąwszy, zapytała zniżonym głosem:

— Wyście syn farbiarza?

— Ja. A bo co?

— Dawno się już czaję do was, a no przy ludziach, w dzień, nijako, w nocy znów, psa się boję, a tu malec jeść chce a nie ma mu kto dać, ja stara nie zarobię. Póki farbiarz żył, dawał po trosze na chleb, na krupy, teraz go brakło, brakło i chleba.

Tamten stary poganin, Duniak, córkę uśmiercił prawie, taj w świat poszedł. Wam dziecko blizkie, radźcież co.

Uriel słuchał olśniony, wzruszony, drżący. Za rękę chwycił starą.

— To dziecko żyje?

— Tać żyje, krzywdy mu nie było, Bóg świadkiem! chłopiec jak iskra, jak orzeszek...

Uriel oddychał z trudnością, twarz mu pobladła, oczy mgłą zachodziły. Ruszył się i chciał iść przodem, ale długi post i nagłe wzruszenie odebrały mu siły, jak pijany zatoczył się i wesprzeć musiał.

Po chwili dopiero opamiętawszy się jakoś, do izby wszedł, za czapkę chwycił i spiesznie miał się do drogi

— Chodźmy! — szepnął starej — chodźmy.

Stara wskazała ręką ku leśnym Majdanom.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEODORA

KOMEDYANTKA I IMPERATOROWA.

DRAMAT HISTORYCZNY W 5 AKTACH.

PRZEZ

Watts Phillips, Esquir.

PRZEKŁAD

J. B.

AKT TRZECI.

(Dalszy ciąg.)

MIRIAM (zadziwiona niespodziewanem jej przybyciem). Wasza cesarska mość!

TEODORA (zbliża się do niej i ujmuje za rękę). Gdzie jest dziecko? gdzie jest on?

MIRIAM. Oczekuje rozkazów waszej cesarskiej mości.

TEODORA. Niech przyjdzie; rozmowa moja z nim nie potrwa długo. (Gdy Miriam ma wyjść zatrzymuje ją skinieniem.) Miriam, wszak mogę zaufać twemu poświęceniu i przywiązaniu?

MIRIAM. Wszak dałam ich dowód w. c. mości.

TEODORA (roztargniona). Tak, tak, to też w otaczającej mnie atmosferze kłamstw i fałszu, w tobie jednej ufność pokładam. (Szybko zwracając się ku niej.) Czy badałaś gwiazdy, jak ci to poleciłam?

MIRIAM. Tak.

TEODORA (z obawą). Czy zapowiadają jakie nieszczęścia?

MIRIAM. Nie; tylko grożące niebezpieczeństwo. Żadna gwiazda nie błyszczy tak jasnym blaskiem, jak gwiazda w. c. mości.

TEODORA. Z jakiej strony zagraża niebezpieczeństwo?

MIRIAM. Z dwóch na raz: słabość ze strony w. c. mości; przebiegłość i podstęp ze strony Kreona.

TEODORA. Czy można uniknąć tego niebezpieczeństwa?

MIRIAM. Tak, wszak powiedziałam, że chłopiec jest tu? (Przechodzi się po scenie, podczas gdy Teodora, której twarz zdradza wątpliwość i wahanie, mówi z lekkim dreszczem.)

TEODORA. A gdzież są inni?

MIRIAM (wskazując drzwi, któremi wyszedł Narses). Najjaśniejsza pani, uderz raz tylko w ten gong, a Filip zostanie uwięziony, jeźli uderzysz raz drugi, niebezpieczeństwo zostanie usunięte, Filip straci życie.

TEODORA. Straci życie!

MIRIAM. Jest to oszust, który śmie nazywać się synem twoim. (Wychodzi.)

TEODORA. Który sam nazywa się moim synem! Jakiż szał mógł ogarnąć Kreona i popchnąć go do tak okrutnego barbarzyństwa? Mój syn! tak dawno już płakałam na jego grobie, że oczy moje zapomniały już goryczy łez matki. A jednak czasem mogiła jego staje mi przed oczami i chciałabym płakać na nią, płakać jeszcze. (Zmieniając ton mowy i przechodząc scenę.) Tak, Kreon chyba oszalał podnosząc słabą dłoń swoją przeciw wielkości mojej, przysełając tego biednego robaka, aby się zmiażdżył o potęgę i wspaniałość tronu. (Żywo). Ah! otóż i on!

(Zasłona w głębi się rozsuwa, wchodzi Filip. Zatrzymuje z nieufnością i uszanowaniem, z nieco pochyloną głową, czekając, aby Teodora zaczęła mówić. Ona patrzy na niego chwilę groźnie i wyniośle, powoli wyraz jej twarzy zmienia się, wyrażając ciekawość i litość. Schodzi niżej, dając mu znak aby się zbliżył.)

TEODORA. Zbliż się. Tak młody jesteś, a tak już wielkie zasługi położyłeś podczas tej wojny.

FILIP (zbliżając się z uszanowaniem). Chciałem stać się godnym mego ojca... Szczęśliwy, że walczę pod jego rozkazami, byłbym szczęśliwszym jeszcze i dumnym, gdybym w danym razie mógł zginąć za niego.

TEODORA. Gdzie przyszedłeś na świat?

FILIP. W Pontapol.

TEODORA. Ah! (Postępując krok naprzód, aby módz przypatrywać mu się baczniej.) Jesteś dumnym i ambitnym, o nie zapieraj się tego, można przebaczyć młodemu żądzę wyniesienia. Chciałbyś dosięgnąć na dworze zaszczytów i godności.

FILIP. Chciałbym zdobyć sobie stanowisko w pośród zacnych i zasłużonych ludzi.

TEODORA. Jest to bardzo szlachetna dążność, ale na czyjeż liczysz poparcie?

FILIP. Na własną prawość i zasługę.

TEODORA (uśmiechając się z litością). Biedny szaleńcze, bardzo to liche poparcie na dworze. Wielkość nie lubi sąsiadów.

FILIP. Nie lubi ich może wielkość fałszywa, ale prawdziwa nie może istnieć bez nich.

TEODORA (cofając się z zadziwieniem). I w tym celu Kreon przysłał cię do Konstantynopola?

FILIP. Nie rozumiem waszej cesarskiej mości.

TEODORA (na stronie, nie zwracając na niego uwagi). Znam już oddawna jego chytrość i podstępy. (Głośno.) Powiedz, wyznaj, co cię popchnęło do tego, abyś stał się narzędziem tego zuchwałego spiskowca, którego jedyną dążnością i nadzieją jest strącenie mnie z tronu.

FILIP. Kreon nie ma podobnych dążności i nie knuje spisku, on tylko za mojem pośrednictwem prosi o zniesienie wydanego nań wyroku wygnania i przywrócenia mu prawa przysługującego wszystkim poddanym w. c. mości, aby mógł umierać, gdzie się urodził.

TEODORA (ironicznie). Tak umiejętnie wybrany obrońca, któremu polecono uzyskać odwołanie wyroku uroczyście wydanego i zatwierdzonego przez cesarza, musi zapewnie posiadać jakieś urzędowe pełnomocnictwo. (Zmieniając ton mowy, wyniośle.) Z mocy jakiego prawa przemawiasz w imieniu Kreona?

FILIP (dumnie podnosząc głowę). Z prawa natury, niem silny, przemawiam w obronie ojca mego. (Słabnącym stopniowo głosem, z głębokiem wzruszeniem.) A obronę tę wznoszę do matki.

TEODORA. Do matki. (Na stronie.) A! Kreon przez usta jego przemawia.

FILIP (z namiętnem wzruszeniem). I dlatego jedynie, aby ujrzeć twarz tej matki, aby choć raz jeden usłyszeć dźwięk jej głosu, przebyłem morze i po raz pierwszy przybywam do tego dumnego grodu, staję przed cesarzową i na kolanach błagam za ojcem moim. (Klęka, Teodora rzuca się w tył zadziwiona i zmieszana.)

TEODORA (na stronie). Dziwna rzecz! te ułożone kłamstwa takiem silnem echem odbijają się w mem sercu.

FILIP (klęcząc dotyka jej sukni, podczas gdy cofnęła się). O! nie zapieraj się świętej nazwy matki, oczyszcza ona usta tego co je wymawia i dochodzi do uszu jak błogosławieństwo.

TEODORA (odwracając się z niepokojem, prawie z przerażeniem). Jakież masz dowody?

FILIP. Zawarte są w tem pudełku. (Zdejmuje z szyi łańcuszek z pudełkiem.) Oddaję je nienaruszone, jak mi je powierzył Kreon.

TEODORA (biorąc pudełko). Powstań.

FILIP. Nie, pozostanę tak, czyż nie przychylisz się do mej prośby?

TEODORA (wyniośle z rozkazującym ruchem). Rozkazuję ci, wstań! postawa taka jest zbyteczną dla przemawiania w sprawie w jakiej przybywasz.

FILIP (wstając). Niech w. c. mość zechce wybaczyć, jeźli mowa moja nie jest tak subtelną i słodką, jaką przemawiają na dworze, wychowałem się bowiem w ciężkiej szkole obozowej. Nigdy nie przewodniczyło mi delikatne poczucie kobiety i miesiąc zaledwie temu, gdy myśl o matce ciche łzy wyciskała z mych oczu: ojciec mówił mi, że ona dawno już żyć przestała.

TEODORA (trzymając w ręku nieotwarte jeszcze pudełko). Cóż więcej?

FILIP. Gdy raz pierwszy usłyszałem z ust jego, że mam jeszcze matkę, nowe życie zadrgało we mnie i choć zaledwie sam przed sobą wyznać się to ośmielam, nowa miłość zbudziła się w mej duszy.

TEODORA (na str., bardzo wzruszona słowami Filipa). Wyrządziłam zniewagę Kreonowi, umiał wybrać narzędzie swej zemsty. Słodko przekonywające słowa płyną z ust jego. (Głośno do Filipa, który chce odejść.) Mów dalej.

FILIP. Nie mogę. Mówię w obronie Kreona, a jestem jego synem, wzruszenie przepełnia moje serce.

TEODORA (zimno i pogardliwie). Dość tego! dobrze odgrywasz swoją rolę, doskonałego miałeś nauczyciela i dobrze wyuczyłeś się zadanej lekcyi. (Na stronie, postępując parę kroków.) Gdyby Miriam nie ostrzegła mnie, chłopiec ten mógłby stać się nader niebezpiecznym. Jakże tomisternie osnuta tkanina kłamstw i oszukaństwa. (Z gorzkim uśmiechem otwiera pudełko.) Zobaczmyż teraz arcydzieło Kreona.

FILIP (wpatrując się w nią ze smutkiem, podczas gdy wyjmuje i czyta papiery zawarte w pudełku). Nieczuła i zimna jak lód! (Dotykając kolumny.) Łatwiej byłoby wzruszyć ten marmur niźli jej serce.

TEODORA (wybuchając tryumfalnym śmiechem, gniecie w ręku papiery, mówiąc na stronie). To więcej jak zniewaga. Żądam dowodów a znajduję tylko wyrzuty, za przeszłość i groźby na przyszłość. (Zmieniając ton mowy i patrząc ku niebu.) O! synu mój, przebacz tam w niebie jeźli serce me odbiegło na chwilę od małej twojej mogiłki. (Zbliżając się do Filipa, drze i rzuca przed nim na ziemię podarte papiery.) Patrz jak niweczę wymysły i drwię sobie z groźb Kreona! (Nieco łagodniejszym głosem, zwracając się do Filipa.) I chciałbyś, biedne dziecko, schylić się aby to podnieść i powalać sobie palce? (Zatrzymuje go w chwili, gdy chce odejść.) Nie obawiaj się, serce twoje jest zbyt młode, aby mogła nim kierować chciwość lub kazić je żądza zło-

ta, ukarzę zdradziecką rękę, ale nie bierne jej narzędzie. Bądź tylko ostrożny, Filipie, i miej ufność we mnie, komedya już odegrana! (Pokazując podarte papiery.) ale się nie udała.

FILIP. Najjaśniejsza pani się myli.

TEODORA (z gniewem). O! dziecko! dziecko! nie ja, ale ty się mylisz, ciebie to w błąd wprowadzono. Kreon mnie nienawidzi i wybrał cię za ślepe narzędzie swoje, aby znieważyć mnie, mnie twoją monarchinię...

FILIP (smutnie). I moją matkę!

TEODORA (z niecierpliwością). Szaleństwo to przechodzi wszelkie granice.

FILIP. W. c. mość zapomina...

TEODORA (żywo). Zapomnę wszystkiego, ale pod jednym warunkiem, abyś wyjechał natychmiast. Pozostając choćby najkrócej, ściągnąłbyś na siebie karę za swoje zuchwalstwo.

FILIP (spokojnie). Jakaż byłaby to kara?

TEODORA (z dziką energią). Śmierć! śmierć prędka i nieomylna. Dotknęłaby cię ręka którą wszyscy odgadują, ale nikt wymienić nie śmie.

FILIP. Więc czyjaż to ręka?

TEODORA. Oto ta! (Pokazuje swoją rękę.)

FILIP. Dopuszczonoby się morderstwa?

TEODORA. Gdy miecz sprawiedliwości dosięga winowajcę, nazywa się to... egzekucyą.

FILIP. Wiem, że posiadasz to prawo, życia i śmierci, ale i mnie przysługuje prawo, którego mi nikt wydrzéć nie zdoła, wolno mi umrzéć.

TEODORA. Jestże to groźba?

FILIP. Nie, to prośba tylko.

TEODORA (na stronie z coraz większem pomieszaniem, patrząc na niezachwiany jego spokój). Miriam ma słuszność, wszelkie wahanie się byłoby szaleństwem. (Mówiąc to zbliża się do gongu.) Fanatyk jest najniebezpieczniejszym wrogiem. (W dalekiej oddali słychać dźwięki muzyki z początku pierwszego aktu. Teodora blada i niezdecydowana dochodzi do fatalnego gonga.) Domagasz się zupełnej sprawiedliwości, nie minie cię ona. (Podnosząc portyerę, zakrywającą korytarz.) Chodź za mną.

FILIP (podchodząc). Idę z ufnością.

TEODORA (zatrzymując się jakby z wahaniem). I bez obawy?

FILIP (uśmiechając się). Z ufnością i bez obawy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEATR.

Piękna żonka, M. Bałuckiego.

Z konkursami, w których myśl ludzką z żywą wyobraźnią zachęca się nagrodą pieniężną do współzawodnictwa i do działalności, to kłopot wielki prawie nigdy pomyślnie nierozwiązany. Zwykle mierności, a czasami lichoty odbierają nagrody, gdy odrzucone prace nieprzypuszczone nawet do współzawodnictwa, opinia publiczna wieńczy uznaniem.

Tak zawsze działo się z konkursami w Krakowie, tak stało się z konkursem Pauliny Krakowowej, w której bardzo słaba praca p. Urbanowskiej została premiowana, tak wreszcie wypadło z ostatnim konkursem imienia Bogusławskiego, w którym uwieńczony dramat poszedł do kosza teatralnej reżyseryi, a pominięte weszły na scenę z zupełnem uznaniem publicznem.

Do tych pominiętych należy także i Piękna Żonka M. Bałuckiego, nieustępująca w niczem dawniejszym jego pracom i przyjęta równie chętnie przez publiczność jak Osaczony Lubowskiego.

Tak niefortunnych wyroków jaka może być przyczyna, trudno odgadnąć. Pprzypuszczać tylko należy świadomość niektórych sędziów konkursowych nazwisk autorów i zręczna agitacya na ich korzyść, której krzykliwości ulegając większość liczebna sędziów, bez czytania już ściśle głosuje według pragnienia agitujących. Do przypuszczenia podobnego bardzo niepochlebnego dla jednego tylko czasem w konkursowym sądzie, mamy pewną zasadę. Aby wyrok nie ulegał podobnym wpływom, w wyborze sędziów powinna być zwrócona szczególna uwaga, nietylko na zdolność sędziów ale i na ich osobistość.

Komedya Piękna Żonka M. Bałuckiego zaleca się temi samemi przymiotami co i inne prace tego utalentowanego pisarza, tym samym naturalnym humorem, żywością wyobraźni i znajomością świata, z którego postacie żywcem wzięte na scenę wprowadza.

Uroda, choć przymiot zmysłowej natury, ale to potęga, której niejeden oprzéć się nie umie. Otóż doktór Ludwik żeni się z taką pełną wdzięku Julją mającą naturalnie, jak to często bywa z urodnemi, pełno pragnień i życzeń bardzo kosztownych a szczególniej wciśnięcia się do towarzystwa możnych panów i utrzymywania domu własnego na odpowiedniej stopie.

To naśladownictwo żaby pragnącej jak koń żelaznej podkowy, zakochanego doktora w pięknej żonce rujnuje i doprowadziłoby go wreszcie do bankructwa, ale przyjeżdża wuj jego, który zdrowym rozsądkiem poznaje wkrótce przepaść, nad którą biedny doktór stoi, i postanawia go koniecznie ratować. Pięknej więc żonce otwiera oczy, szczerą a poczciwą prawdą skłania do uznania błędności drogi, jaką obrali i wymaga przeniesienia się do innej miejscowości, aby raz na zawsze zerwać stosunki do zguby ich prowadzące.

Pomijamy tu mnóstwo różnych ustępów wiele interesujących, poprzestając na ogólnym rysie tej ładnej komedyi ożywionej komizmem niepośledniej wartości, aby niejako usprawiedliwić uwagi na początku o konkursach zrobione. Publiczność bowiem zawsze bawi się na niej wybornie, śmieje, oklaskuje i szczelnie teatr napełnia, dla czegoż więc nie otrzymała pierwszeństwa przed premiowanym Albertem, na scenie dotąd nigdzie nie przedstawionym?

Gra artystów jak zawsze tak i na ostatniem przedstawieniu, była istotnie koncertowa. Pannie Wisnowskiej należy się pierwszeństwo, i nietylko z urody ale i artyzmu była prawdziwie piękną żonką. Panna Czaki prześlicznie przedstawiła nadobną Andzię; p. Prażmowski dobrze odwzorował doktora, to samo pp. Grzywiński i Leszczyński, p. Ostrowski zaś uczący się rozmowy francuzkiej na pamięć aby w salonie pańskim mógł się popisać z francuszczyzną, a pp. Szymanowski i Wolski w rolach hrabiczów Gapiszewskich, ciągle widzów pobudzali do śmiechu.

RÓŻNE WIADOMOŚCI.

Nad Warszawą od pewnego czasu przelatują zwiastuny jesieni... dzikie gęsi wielkiemi stadami. Lubię patrzyć na te harde ptaki, rozgłośnem gęganiem znaczące drogę swej nadpowietrznej podróży. Swobodne, pędząc w dal, zapewne z politowaniem przypatrują się mrowisku ludzi gdzieś tam w nizinie pod niemi zaledwie dostrzeganym. Wprawdzie pocisk myśliwego dogania je w wyżynie powietrznej, ale zasadzka, zdrada, podstęp, gwałt, czychają wszędzie na ludzi, a brak im skrzdeł do ucieczki przed niebezpieczeństwem. Lubię więc dziki gęsi, w przelocie witam je radośnie, ścigam wzrokiem z zazdrością, a żegnam ze smutkiem.

Takiem ożywiony uczuciem dla przelotnej tej rzeszy, z nadzwyczajnem oburzeniem przeczytałem w Kaliszaninie następującą wiadomość:

Wywóz gęsi do Prus. Już przeszło od miesiąca, całe armie bohaterek kapitolińskich pędzone są przez Kalisz. Tak bywa rok rocznie, a można śmiało powiedzieć, że krocie tysięcy owego ptastwa idzie na banicyę i pożarcie do Niemiec. Po przetworzeniu na półgęski hamburskie i pasztety strasburskie, poczciwe to choć *głupie* nasze ptastwo, powraca do ziemi rodzinnej w stanie wprawdzie martwym, lecz za to w dostojeństwie figurowania w handlach delikatesów. Jak na wszystkiem u nas, tak i na zakupie gęsi, robią niezłe interesa nasi sąsiedzi. Za rubla dają nam swoje 4 złote; przyszedłszy na zakupy, rubel znów się staje rublem, a że gęsiarze pruscy robią wielkie zakupy po wsiach, t. j. na miejscu, przeto sztukę nabywają po 2 i pół złotego, a już co najwyżej po pół rubla, czyli za swoje 2 złote. Tym sposobem, przy owych krociowo tysiącznych wykupach u nas gęsi, my na targach zniewoleni jesteśmy płacić za lada mizerną sztukę, chudą i podskubaną aż do skóry, po rublu, a zwykle jeszcze wyżej.

Wszystko to prawda co wyrzekł Kaliszanin, ale nazwanie gęsi naszych bez najmniejszego zastrzeżenia *głupiemi*, to cokolwiek za ryzykowne. Swojskie, co prawda, są prawdziwemi półgłówkami, że się przerabiać dają na półgęski, ale dzikie przeobrażeniu temu dotąd skutecznie się opierają i gdyby umiały mówić, to kto wie czyby z wyżyn, w których się wznoszą, nie objaśniły przyczyny tegorocznych upałów lepiej, niż to astronomowie starają się dopełnić. Jeden z nich powiada:

Przyczyna niezwykłych upałów, jakie przez połowę Sierpnia i Września dokuczały nam, zdaje się być niezwykła wysokość słonecznych protuberancyi. Protuberancyami w tym wypadku nazywają astronomowie ogniste strumienie wodorodu wybuchające ze słońca. Zwykła wysokość tych protuberancyi jest 12,000 kilometrów w tym normalnym stanie nie ściągaią one na siebie uwagi astronomów. Niekiedy dochodzi ich wysokość do stu tysięcy kilometrów a wtedy na naszej ziemi mamy ciepło niezwykłe, które, zwłaszcza jeśli taki wypadek zajdzie ku końcowi zimy, bardzo przyjemnie oddziaływa. Jeżeli zaś te wysokie protuberancye pojawią się w porze latowej, natenczas sprawiają upał, suszę i inne niedogodności. Najczęściej zdarzają się silne protuberancye w końcu czerwca i w połowie października, rzadko kiedy widzą je astronomowie w końcu maja i w pierwszej połowie sierpnia; wtedy są one też najsłabsze. Zdarza się niekiedy, że protuberancye spadają do 5 — 6,000 kilometrów, a wtedy nam tu na ziemi bardzo zimno. Od połowy sierpnia widzą astrono-

mowie na słońcu ustawiczne ewolucye, protuberancye przybrały niezwykłą wysokość i siłę, a w dniu 24 Sierpnia buchały do 300,000 kilometrów wysokości. Ten to objaw słoneczny tak niezwykły sprawił te nadzwyczajne upały na ziemi naszej. Kiedy się zmniejszy ta wysokość i siła obecnych protuberancyi, o tem jeszcze nauka wiedzieć nie może.

Wszystko to być może, że jakieś tam ziemskim profanom nieznane protuberancye tak broją straszliwie, ale gdzie pewność, że ze słońca buchają ogniste strumienie wodorodu? Są tacy co słońce uważają za ognisko ciągle palące się, ale są i tacy co temu przeczą dowodząc, że słońce jest taką samą planetą jak ziemia i że światło, jakiem przyświeca, wypływa z otaczającej ją fotosfery. Ta zaś powłoka ma pochodzić z siły przyciągania eteru zapełniającego nieograniczoną przestrzeń dziedziny Bożej, która to siła tym potężniej jest działająca im ciało niebieskie jest większe. Fotosferę więc ma każda planeta, ziemia nasza, a nawet każdy przedmiot na niej znajdujący się. Przyciągane atomy eteru trąc się w skupieniu wydają światło, tym większe im przyciąganie jest silniejsze, czyli im większe jest ciało, które wywiera to działanie. Że zaś planety i ziemia są małe, fotosfery ich są niewidzialne i ziemska dostrzegać się daje jedynie przy zaćmieniu księżyca, który w tym wypadku zamiast być zupełnie zaciemnionym, ma czarność przeświecającą purpurą, pochodzącą z odblasku fotosfery ziemskiej. Słońce jako wielkością przewyższające wszystkie razem należące do niego planety, ma i odpowiednią fotosferę i ta nam zsyła światło i ciepło.

Komitet towarzystwa muzycznego rozpoczął już zimowy sezon koncertowy większym wieczorem ze współudziałem znakomitego skrzypka p. Tymoteusza Adamowskiego, profesora w konserwatoryum muzycznem w Bostonie. Utalentowany to bardzo artysta, przed dziesięcioma laty słyszała go Warszawa gdy był młodzieńcem, i przyjęła chętnie jako rokującego piękne nadzieje; dziś oklaskiwała dojrzałego mężczyznę z zapałem i radością, że spełnił jej oczekiwania.

Komitet nadto, uważając zawsze za główną podstawę działalności artystycznej chór i orkiestrę, usilnie się stara o wzmocnienie tych ważnych czynników zbiorowych, a owocem tych usiłowań będzie wystawienie słynnego oratorjum Bacha p. t. „Męka Chrystusa," wykonanie którego uważa się w świecie muzykalnym za fakt szczególnie doniosły.

Prócz tego wykonaną będzie, w razie usunięcia pewnych trudności, kantata Mendelsohna „Noc Walpurgii" oraz drobniejsze chórowe utwory.

Dla uczczenia pamięci niedawno zgasłego Franciszka Liszta, przygotowuje się w przededniu jego urodzin (22 Października) uroczysty wieczór, w program którego wejdą wyłącznie utwory węgierskiego mistrza.

Dzień ś-tej Cecylii obchodzić zamierza towarzystwo z możliwą uroczystością.

Co do współudziału artystów, to oprócz najznakomitszych sił miejscowych, komitet stara się pozyskać i wybitnych artystów zagranicznych i w tym celu poczyniono już odpowiednie kroki.

Na skutek własnego zgłoszenia się zaangażowani zostali na występ: słynny kwartet wokalny damski z Gracu, oraz p. Marcel Herwegh skrzypek z Paryża, nabierający coraz większego rozgłosu. W miarę zawieranych układów nazwiska innych artystów podawane będą do wiadomości publicznej.

Czyniąc te usiłowania, komitet spodziewa się, że członkowie towarzystwa poprzeć zechcą jego pracę, zarówno przez uczęszczanie na wieczory, jakoteż przez pozyskiwanie nowych członków, od czego głównie pomyślny rozwój instytucyi zależy.

Takie poparcie przedewszystkiem należy się Towarzystwu. Wszelki instytucye publiczne zbiorowe zostają niejako pod wyłączną także opieką publiczną. Mogą one jako przez ludzi prowadzone szwankować w rozwoju, błądzić i potykać, należy więc niedostatki wskazywać, objaśniać, radzić, ale pod żadnym pozorem opuszczać nie godzi się, a wspierać uważać za obowiązek obywatelski. Składka dziesięciorublowa na rok cały, jest rzeczą niewielką, wydatek ten budżetu domowego nie obciąży zbytecznie a w każdym razie opłaci się i muzyką i zadowolnieniem wewnętrznem, że się pomoc przyniosło instytucyi tak wielce pożytecznej. Od spełnienia tego *obowiązku nic nie uwalnia, nawet brak zamiłowania muzyki*, tylko jedna prawdziwa niemożność. Wszystko bowiem co dobre wspierać należy, bo tym tylko sposobem społeczności coraz lepiej się rozwijają, kwitną i pięknemi czynami świadczą o ogólnym postępie, Gdybyśmy to pojmowali należycie, jak przynależy na bezwzględną prawdę, wiele rzeczy działoby się inaczej, niż się dzieje.

Emigracya żydów z Rumunii do Ameryki. Już od lat kilku opuszczają Izraelici osiedli w Rumunii swe miejsca zamieszkania i emigrują gromadnie przez Bukowinę i Galicyę do Ameryki. W ostatnich czasach wzmogła się ta emigracya, popierana przez płatnych agentów, którzy zdołali dla emigrantów uzyskać zniżone ceny jazdy na obudwu Galicyę przerzynających liniach kolejowych, a to od zarządu kolei Lwowsko-Czerniowieckiej i kolei Karola Ludwika. W najbliższym czasie należy, dzięki zabiegom powyższych agentów i uzyskanym przez nich ułatwieniom, spodziewać się znowu większego wychodźtwa izraelitów rumuńskich do Ameryki emigrujących. Gdy nie jest wyłączona możliwość, że niektórzy z emigrantów tych, bądź to wskutek obudzającej się w drodze tęsknoty za krajem rodzinnym, bądź dla braku środków pieniężnych do podjęcia dalszej podróży, opuszczą pociąg wiozący ich przez Galicyę i zechcą pozostać się w kraju, a częstokroć stać się mogą ciężarem ludności w Galicyi, przeto, jak donosi „Gazeta Lwowska", władze powiatowe wezwane zostały, aby na transporta emigrantów rumuńskich zwróciły uwagę organów sprawujących policyę na dworcach kolejowych, a w szczególności żandarmeryi celem zapobieżenia osiedlania się w kraju indywiduów obcych bez środków utrzymania i dostatecznych legitymacyi. Do takich emigrantów, zdradzających chęć pozostania w Galicyi, z całą ścisłością zastosowane będą w danym razie obowiązujące przepisy o postępowaniu z osobami obcokrajowemi.

Szczęśliwa Rumunia, że ma żydów co ją pragną opuszczać; gdyby ta gorączka zmiany miejsca osiedlin wszystkich ich na całym świecie opanowała, to zdaje się, że żadna społeczność po tej stracie żałoby nie przywdziała.

Skromność i zbytek. W tych dniach przed jednym z kościołów tutejszych stanęły prawie jednocześnie dwa orszaki ślubne, jeden złożony z 18 karet, drugi z czterech.

Ślub pierwszej pary odbył się przy rzęsisto oświetlonym kościele, drugi prawie wśród ciemności i bez kwiatów, które zaraz po pierwszym ślubie wyniesiono.

Zdawałoby się, że pierwsza para należała do zamożnych rodzin, druga do ubogich, było jednak przeciwnie.

W pierwszej parze stanęli u ołtarza, urzędnik pobierający pensyi 700 rubli rocznie, z córką również urzędnika, oboje niezamożni, a nawet biedni, gdyż cała ta wystawa odbyła się za pożyczane pieniądze, w drugiej zaś parze bogaty przemysłowiec zawierał związek z panną, mającą 25 tysięcy rubli posagu i cztery razy tyle po śmierci rodziców, ludzi posiadających w Warszawie aż sześć posesyi nieobdłużonych.

Tam nadęta nędza, tu skromność, może i za skromna, co jednak lepsze?

Jednocześnie z tem udanem państwem, gazety doniosły o weselu księcia Lusignan spadkobiercy korony królewskiej armeńskiej, które cicho, wśród najściślejszego rodzinnego grona, odbyło się w tych dniach w Medyolanie. Ojciec księcia umarł w największej nędzy, on zaś sam jest... markierem w jednej medyolańskiej kawiarni a jego żona była dotychczas kucharką w restauracyi. *Sic gloria transit mundi*, tak przechodzi chwała świata i pozór udanego państwa.

Z dziedziny humorystycznej.

Za kulisami teatralnemi.

Pomiędzy artystami ale prawdziwymi, którzy ze szczególnej skłonności zostając artystami, mówią wyraźnie i nie piszczą gdy śpiewają, zdarzenia komiczne, śmieszne awanturki i różne wypadki zabawne, są na porządku dziennym. W dawniejszym teatrze przed rokiem 1830, życie zakulisowe wrzało tą wesołością. Żółkowski, ojciec dzisiejszego ulubieńca publiczności, niemało się do tego przyczyniał. Raz bardzo rano, wpada za kulisy z wielkim ferworem i z kapeluszem na bakier przekręconym wywijając laską, woła:

— Panie magazynierze! milion fur beczek! panie magazynierze! proszę mi wydać z magazynu armatę, tylko żywo, bo nie mam czasu. Uf! jakżem się zmęczył.

— Armatę?—pyta magazynier zdziwiony.

— Tak jest, armatę.

— A panu na co armata potrzebna?

— Cóż to?—zapytał Żółkowski gniew udając, i przekręcając kapelusz jeszcze bardziej zawadyacko. Czyż to acpan panie kolego z mojej koguciej postawy, nie możesz odgadnąć że się mam pojedynkować?

— Ty, panie Aloizy?

— Tak jest, ja, a wybór broni do mnie należy. Wybrałem więc armatę, a żem człowiek teatralny, posłużę się zatem teatralną armatą.

— Ależ to żarty, rzecze magazynier uśmiechając się.

— Nie, kolego, nie żarty, o czem się wkrótce przekonasz, proszę więc o przysługę.

Armata wydaną została, Żółkowski zabrał ją w dorożkę i pojechał. Nieporozumienie z jakimś wiejskim obywatelem nieznającym Żółkowskiego, rzeczywiście miało miejsce a nawet i wyzwanie na pojedynek. W parę godzin później, Żółkowski już był z powrotem.

— Otóż jestem, żyję jeszcze, wołał ciągnąc za sobą armatę, chociaż już się sam za swą duszę modliłem.

— I jakże się pan wywinąłeś z awantury?—zapytał magazynier.

— Jakem się wywinął? — A to mi się podoba, wywinął, wywinął! — z pewnym rodzajem obrazy powtarzał Żółkowski chodząc po scenie z ręką w kieszeni, w pośród artystów zebranych na próbę. Potem zatrzymując się, ciągnął dalej: Że nie przyszło do krwawego starcia, zrobiło się bardzo naturalnym sposobem. Mój przeciwnik, zobaczywszy mnie ciągnącego armatę, najprzód zgłupiał, potem zrobił wielkie oczy i zapytał z największą grzecznością:

— Co znaczy ta armata?

— To broń którą obrałem, odrzekłem z niesłychanem męztwem.

— Ależ panie, to...

— Nic nie słucham, przerwałem zatykając uszy i podnosząc nos jak Dmuszewski węszący dobre wino, mówiłem dalej z jedną energią: Strzelać się więc będziemy na armaty o trzy kroki oddalenia a ja mam strzał pierwszy. Masz pan wóz przewóz i basta!

— Ależ panie, odezwał się mój przeciwnik, to nie żarty, tu z nas jeden na placu zostać musi.

— I owszem, i owszem, potwierdziłem, a kiedy tak stanowczo postanowiono, to pan zostań sobie na placu a ja wrócę do domu. A i wróciłem i wszystkich was w imieniu mego przeciwnika zapraszam na kiełbasę z kapustą do naszej wdowy co ma męża *).

* * *

Gdy pierwszy raz przybyła do Warszawy trupa akrobatyczna linoskoków Hijarynich, i wszyscy podziwiali pochód jej w teatrze po linie ze sceny na paradyz, jeden tylko Żółkowski na widowisko to spoglądał obojętnie i oświadczył z największą pewnością, że rzecz to nadzwyczaj łatwa i że sam we własnej osobie także po linie ze sceny pójdzie na paradyz.

— Tak, tak, ja sam, mówił do uważających to za niepodobieństwo, z tym moim brzuszkiem wydętym, okrągłym jak baryłka, spełnię co powiadam. Zresztą trzymam zakład, o rzecz małą, o tuzin kiełbasek parowych i o kosz piwa, kto łaskaw to proszę.

Zakład przyjęto i Żółkowski wygrał; zjadł bowiem lina smażonego u wdowy mającej męża i potem przez scenę poszedł na paradyz.

* * *

Czasami publiczność zwykle paradyzowa, bisuje w najniewłaściwszych miejscach i każe powtarzać co powtórzonem być nie może. Raz wypadło Żółkowskiemu spiesznie położyć się na łóżku i udać śpiącego, co zrobił z tak komicznym ruchem, że teatr od śmiechu publiczności zatrząsł się, i wśród burzy oklasków zażądano powtórzenia. Żółkowski ani się poruszył, a gdy hałas bardziej się wzmagał, dał znak i rzekł:

— Śpię teraz szanowna publiczności, nic więc nie widzę ani słyszę.

— Bis, bis! Fora, fora!—zakrzyczano na nowo. Artysta nie wiedząc jak wybrnąć z kłopotu, nagle zwrócił się plecami do publiczności.

Był to żart cokolwiek za gruby, dało się też słyszeć sykanie, spuszczono kurtynę, krzyk się wzmógł, przywołano Żółkowskiego...

Niebawem wyszedł przed budkę suflera, ale z miną tak komicznie przerażoną i skuloną, że w jednej chwili śmiech głośny ożywił wszystkie usta, podniosły się oklaski, nastąpiła zgoda na potwierdzenie czego, artysta roztwierając ręce rzekł pokornie przychylony;

— Szanowna publiczności, wszystko czem darzysz biorę chętnie, oklask twój raduje mnie, a syk i gwizd uczy... rozwagi w żądaniach.

Zrozumiano przymówkę i słuszność jej oklaskiem potwierdzono.

*) Ówczesna jadalnia przy Krakowskiem przedmieściu, wprost resursy gdzie czasami bywał Żółkowski, utrzymywana była przez wdowę, która gdy wyszła powtórnie za mąż została nazwana przez Żółkowskiego wdową co ma męża.

* * *

Dzwonek księcia Bismarka. Gdy Bismark za młodych jeszcze swych lat bawił w Frankfurcie nad Menem, jako poseł związku niemieckiego, zamieszkał w domu u bogatych patrycyuszów tamtejszych.

Po kilku dniach Bismarkowi dał się uczuć brak dzwonka, umożliwiającego mu przywołanie służącego, ulokowanego na poddaszu.

Uwiadomił więc swego gospodarza o tym braku, wskazując na wielką niedogodność każdorazowego udawania sie na poddasze, w razie potrzeby służącego, prosił więc o przeprowadzenie dzwonka.

W odpowiedzi na tę suplikę, dumny patrycyusz kazał oświadczyć lokatorowi, iż najmujący zwykli dotąd załatwiać takiego rodzaju życzenia własnym kosztem, nie widzi więc racyi odstąpienia dla pana Bismarka od zwykłej reguły.

W kilka dni później nad ranem, rozlega się naraz w całym domu huk wystrzału.

Wszyscy domownicy zrywają się przerażeni z łóżek, gospodarz zarzuciwszy zaledwie szlafrok na siebie, pędzi od mieszkania do mieszkania dopytując się z przerażeniem co zaszło.

Lecz nikt nic nie wie.

Nareszcie w dalszym swym przeglądzie właściciel dociera aż do gabinetu Bismarka i zastaje go palącego jak najspokojniej fajkę i piszącego przy biurku, a przed nim leży dymiący się jeszcze pistolet.

— Na rany boskie! co się stało? — krzyczy przerażony gospodarz.

— Dałem tylko memu służącemu umówiony znak, by się zjawił. Jest to najzwyczajniejszy sygnał bez żadnego znaczenia, do którego mam nadzieję, pan się wkrótce przyzwyczai.

Zbyteczne chyba dodawać, że Bismark w jak najprędszym czasie otrzymał swój dzwonek.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Autorce wierszy pod tytułem: Fragment i Pragnienie. Znać z układu, że myśli z serca płynęły ale w całości główna treść zbyt zaciemniona.

Panu T. K. w Krotoszynie. W Przyjacielu dzieci pod względem wpływu na młodych czytelników, uwaga niezmiernie jest zwrócona Redaktora, który stara się nawet wyrazu jednego nie pomieścić coby myśli całej fałszywe nadał znaczenie. Baczność ta w wydaniach rozmaitych bardzo mało jest zachowaną, bo mało także mamy *pracowników pióra z zamiłowania* a tylko *wyrobników* chmara.

Pani E. H. W wierszach najpiękniejszą myśl zepsuć może rym naciągnięty. Forma dobra jest rzeczą niezbędną, ale musi ją ożywiać treść podniosła, malowniczość słowa i potęga uczucia. Gdzie tego nie ma, tam forma najpiękniejsza nawet, staje się próżnym brzękiem słów bez żadnej wartości.

ZAWIADOMIENIA.

☛ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Сентября 1886 г. Redaktor **J. K. Gregorowicz.** Wydawca **E. Skiwski.** Druk **E. Skiwskiego,** Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).

Dodatek.

Opis do N-ru 38.

(Dokończenie.)

N. 24. Suknia z gorsecikowym stanikiem. Model kroju stanika ryc. 20.

Odpowiednio do spódnicy u dołu w patki do spodu w pukiel podwinięte przecinanej, bluzka dopełniająca stanik gorsecikowy i pół długie rękawy także w pukle zakończone, zrobione były z materyału w pasy. Stanik gorsecikowy zakończony z przodu i z tyłu bawetem, do którego model kroju dajemy na ryc. 20, litera *c* do *f*, jest z tyłu sznurowany; bluzka brzegami przodów jeden na drugi zachodząca, dla obciągnięcia gładko ma przyszyte do pleców wstążki, które się z przodu wiążą. Rękawy wszyte są do zwierzchniego stanika, ozdobionego na ramionach kokardami. Wysoko podpięte proste bryty tylnej draperyi, dopełnia z przodu, w ząb zakończona, fałdzista fartuszkowa draperya. Zręcznie upięte kokardy są ze wstążki heliotropowego koloru, jakiego jest także gładki materyał na stanik i draperyę. Na spódnicę i bluzkę użyty był materyał w prążkowane pasy, koloru heliotrop i ècru, a pukle podszyte były kolorem ècru.

N. 25. Szlak na poduszki, przykrycia mebli i t. p. Haft kolorowy.



N. 1. Uczesanie w pukle podłużne. Patrz ryc. 4.

N. 2-3. Uczesanie z grzebykami.

N. 4. Uczesanie w pukle podłużne. Patrz ryc. 5.

N. 5. Uczesanie na krepinie.

Na ryc. 25, dajemy deseń i wzór do haftu zarówno ładnego jak i pospiesznego. Na kanwie *ficelle* złotem przetykanej, trzeba odrysować kontury geometrycznych figur deseniu, a następnie obwodzić je sznelą, przeszywaną przez wierzch jedwabiem takiego samego koloru. Na modelu sznela była koloru jasno bordo, a tło figur wyszywane dzieloną filozelą, kolorem ciemno bronzowym i jasno miedzianym, ściegiem dzierganym układanym w grupy i skośnemi pojedyńczemi ściegami tworzącemi kratę. Prążki brzeżne stanowiła nitka grubej włóczki, koloru niebieskawo pawiego, przeszywana jedwabiem.



N. 6. Suknia z odmiennym stanikiem.

N. 7. Suknia z pokryciem tiulowem. Patrz ryc. 38.

N. 8. Suknia z tuniką. Patrz ryc. 21—22 w N-rze 38.

Opis do N-ru 39.

N. 1—5. Modne uczesania.

Na ryc. 1—5 przedstawiamy z przodu i z tyłu trzy odmienne sposoby układania włosów, nadające się do włosów niezbyt długich i posiłkujące się tylko małemi krepinami, na których odczesują się włosy w górę od twarzy. Rycina 2—3 daje wzór uczesania dla młodej osoby posiadającej wyjątkowo krótkie włosy, które przypinają się podłużnemi grzebykami.

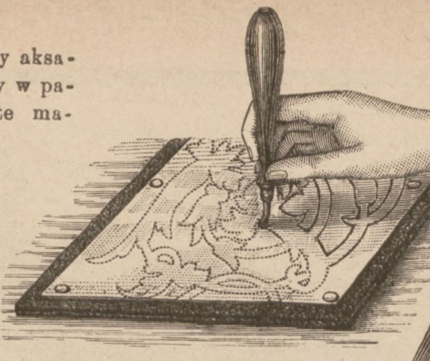
N. 6. Suknia z aksamitnym stanikiem.

W obecnej chwili moda przedewszystkiem łączy z sobą kolor czarny z białym lub z kolorem *mauve* t. j. lila z odcieniem różowym. Rycina 6 przedstawia suknię z czarnej koronki, aksamitu i materyi mauve na podszewkę pod spódnicę, rękawy pół długie marszczone i pod kapelusz z gazy jedwabnej marszczonej w bufki. Spódnicę z przodu i z boków garnirują suto namarszczone falbany koronkowe, upięcie tylne dane z koron-

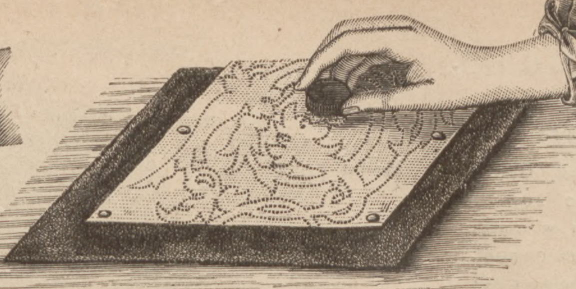
wego materyału. Stanik czarny aksamitny, ma brzeg dolny wycięty w patki, podwinięte w pukle podszyte materyą crême; gładkie przody zdobi plastron aplikowany z kolorowego haftu, z jednego brzegu przyszyty, z drugiego przypinany na kryte haftki.

N. 7 i 38. Ubranie wizytowe.

Podszewkę stanowi biała jedwabna materya, pokrycie zwierzchnie dane z czarnego jedwabnego tiulu w drobny rzucik. Na spódnicy dany bardzo szeroki suto marszczony wolant zakończony szeroką riuszą. Draperya z prostych namarszczonych brytów, podpięta z boków podług ryc. 7, zachodzi na baskinę stanika. Ryc. 38 przedstawia z przodu stanik z materyi białej w czarny rzucik, przybrany plisowaniem tiulowem, kołnierzyk i mankiety z bufki tiulowej przewleczonej wstążką, związaną w kokardę. Kapelusz opasany wstążką, zdobny dwoma skrzydłami.



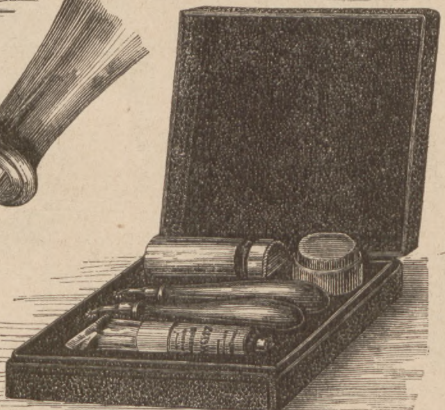
N. 9. Nakłucie deseniu do kopiowania na materyale. Patrz ryc. 10—12.



N. 10. Napuszczenie deseniu farbą, do kopiowania na materyale. Patrz ryc. 9—12.



N. 11. Radełko do nakłucia deseniu. Patrz ryc. 9—12.



N. 12. Pudełko z przyborami do przenoszenia deseni na materyał. Patrz ryc. 9—12.



N. 13. Czepeczek negliżowy. Patrz ryc. 14.



N. 14. Denko i czółko do czepeczka ryc. 13.



N. 15. Chusteczka zdobna kokardami.

N. 8. Suknia z tuniką. Patrz ryc. 21—22 w N-rze 38.

Odrobiona z materyi czarnej z białym w kratkę, zdobna szarfą aksamitną; spódnica prawie cała kryje się pod tuniką, której połowę daliśmy w wymiarze na ryc. 22 w N. 38. Przód sfałdowany podług znaków zszywa się z boku z tylnym brytem podpiętym w dwa pukle; dalsze podpięcia i sfałdowanie tylnego bryta wskazują znacznie pod literą *b*. Stanik z kaftanikowemi przodami (patrz ryc. 21 w N-rze 3) dopełniony jest marszczoną kamizelką z gładkiej krepy (patrz *b* na ryc. 21). Kołnierzyk od stanika przypięty jest z boku ozdobnemi szpilkami na kołnierzu kamizelki.

N. 9—12. Przyrząd do przerabiania deseni.

Rycina 12 przedstawia otwarte pudełko, w którem pomieszczone są radełka różnej grubości, farba biała (blejwas) do przenoszenia deseniu na ciemne materyały; farba niebieska do jasnych i białych materyałów i gąbka oprawna w osadę szklanną do napuszczania koloru niebieskiego — biały rozprowadza się palcem. Jak widzimy z rycin deseń na rysowany na grubym papierze przytwierdza się na materyale nakłuwa radełkiem, następnie napuszcza farbą.

N. 13 — 14. Czepeczek koronkowy.

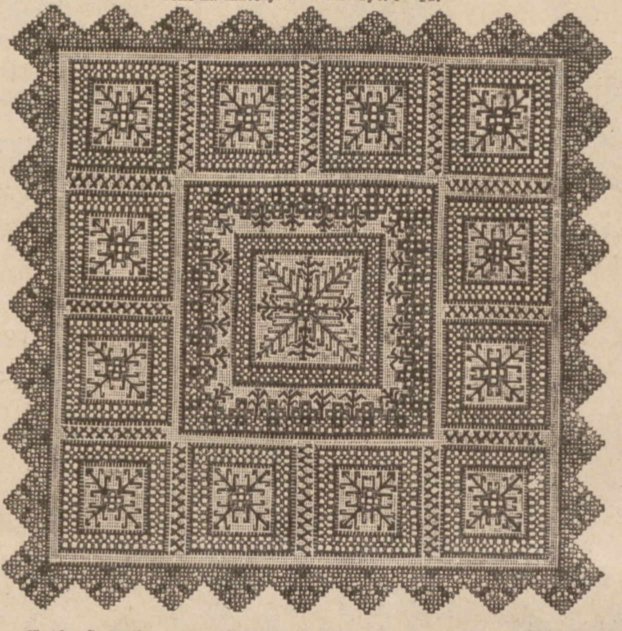
Podstawę czepeczka stanowi czółko i denko wykrojone podług litery *a* i *b*, na ryc. 14 ze sztywnego tiulu, oszyte drucikiem i objęte wstążeczką. Najpierw z prawej strony na czółku daje się trzy pukle z wstążki atłasowej ponsowej 5 cent. szerokiej. Denko do czółka przyszywa się od gwiazdki do dwukropka, następnie podług ryc. 13 pokrywa się koronką zmarszczoną ściśle do środka (15 cent. szeroką, 123 długą), na zmarszczeniu dana kokarda z wstążki.

N. 15. Chusteczka z kokardami.

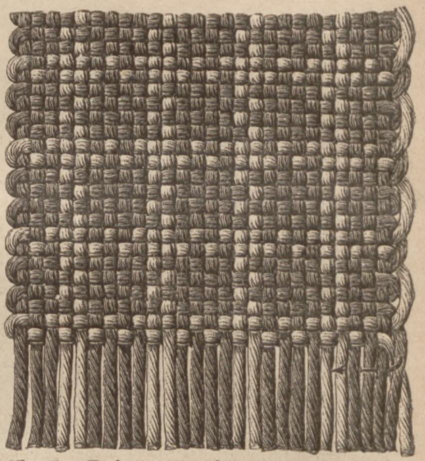
Do stojącego kołnierzyka krepowego, złożonego w trzy fałdy, przyszyte są z przodu proste końce krepowe, również w fałdy zaplisowane, sięgające do wcięcia stanu. Zewnętrzne brzegi boczne oszyte są wzdłuż koronką marszczoną, ułożoną wachlarzowo, która otacza w około



N. 16. Sukienka wełniana dla dziewczynki. Patrz ryc. 17.



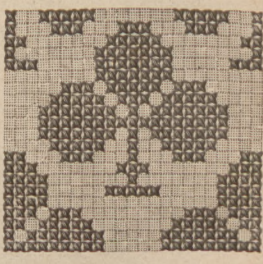
N. 19. Serwetka z wyszyciem i kratką ażurową. Patrz ryc. 16 w N-rze 38.



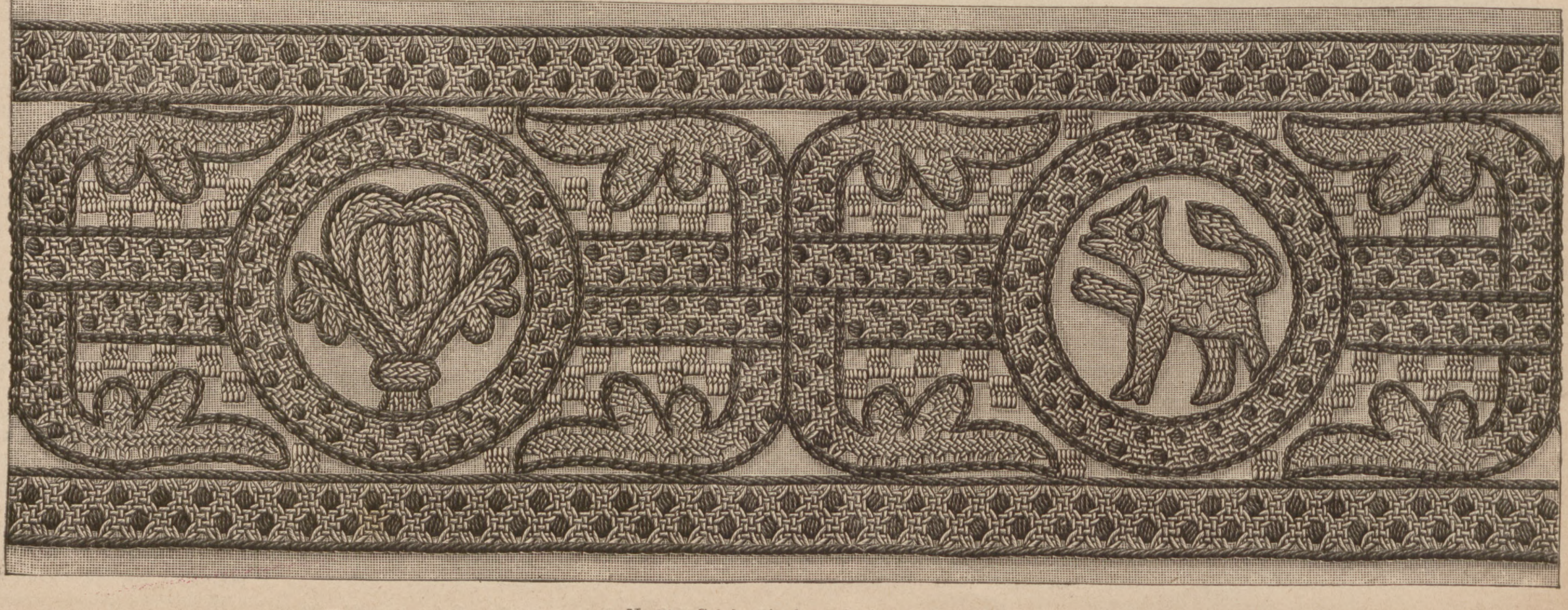
N. 17. Robota tkacka na warstaciku ręcznym, do ryc. 16.



N 20. Lewa strona bluzy do ryc. 36.



N. 18. Desenik do pantofla r. w N-rze 38.



N. 21. Szlak ściegiem plecionym.

kołnierzyk. Środkiem przodu brzegi rozchodzą się szeroko i łączą kokardami z wstążki ottoman żółtej i aksamitki czarnej.

N. 16—17. Sukienka wełniana dla dziewczynki.

Rycina 16 przedstawia sukienkę wełnianą robioną na warstaciku ręcznym podług próbki danej na ryc. 17, ale nie dajemy szczegółowego opisu roboty, gdyż jest ona u nas mało rozpowszechnioną, z powodu braku warstacików. Zamiast tkackiej roboty użyć można jakiegokolwiek wełnianego materyału; staniczek liczy z przodu 26 cent., z tyłu 29 cent. długości, spódniczka liczy 21 cent. długości a 130 cent. obwodu. Przyszycie do stanika zakrywa szarfa z pletni wełnianej, związana w kokardę.



N. 22. Stanik koronkowy z kamizelką.

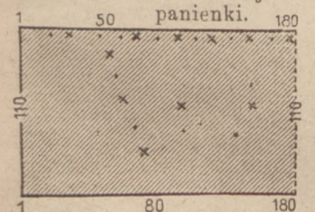
N. 19 i 33. Serwetka z wyszyciem kolorowem.

Liczy w kwadrat 40 cent. i wyszyta jest na dość grubem białem płótnie, bawełną ponsową i granatową; kratka ażurowa wiązana i odziergiwana ponsową bawełną N. 40 ścieg sznureczkowy i długi użyty do wyszycia deseniu, który dajemy na ryc. 33 w N. dzisiejszym i na ryc. 16 w N-rze 38. Na kratkę ażurową wyciąga się po 6 nitek wzdłuż i wszerz; na ząbki z kratki ażurowej zostawia się 8 nitek.

N. 20 i 36. Ubranie dla chłopca lat 5—7. Krój dopasować można podług ryc. 15 w N-rze 14. Krając bluzę podług wyżej wskazanej formy, dodaje się brzegiem przodów (fig. 68) materyału na obrąb pod guziki i dziurki; rękawy z prostego kawałka 28 c. szerokie, wszyte są w mankiet 7 cent. szeroki. Pasek 5 cent. szeroki, przytrzymany z boków wązkiemi pateczkami. Wykończenie od lewej strony i podszycie listewki do marszczenia przedstawia ryc. 20. Model ubrania ryc. 36 odrobiony był z materyału gładkiego i w paski koloru granatowego; guziki płaskie z konchy perłowej.



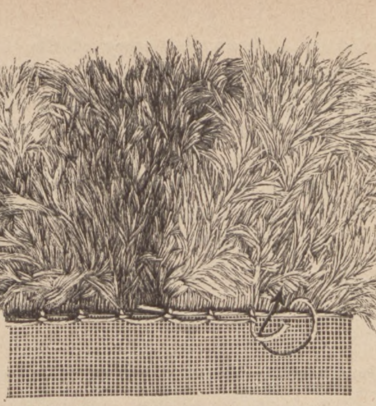
N. 26 Suknia z bluzką dla młodej panienki.



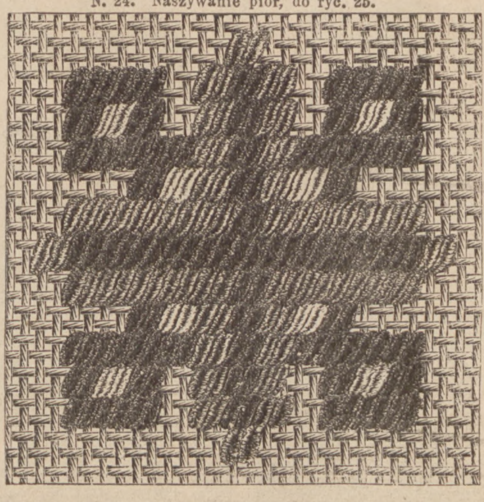
N. 27. Wymiar tuniki do r. 23 w N-rze 38.

N. 22. Stanik z kamizelką.

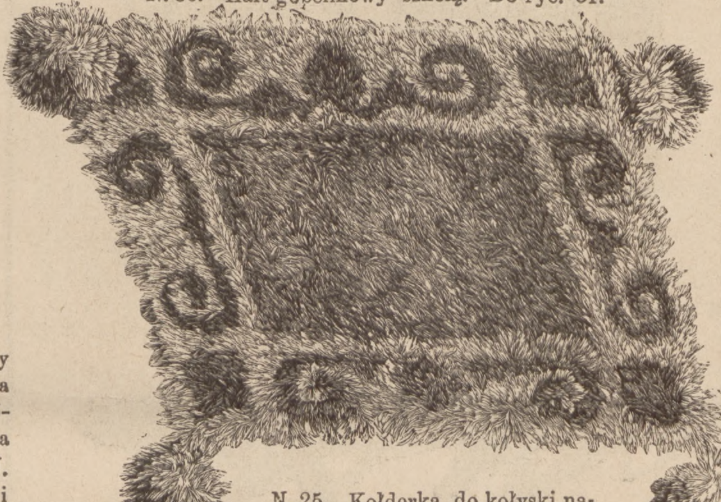
Stanik od czarnej koronkowej



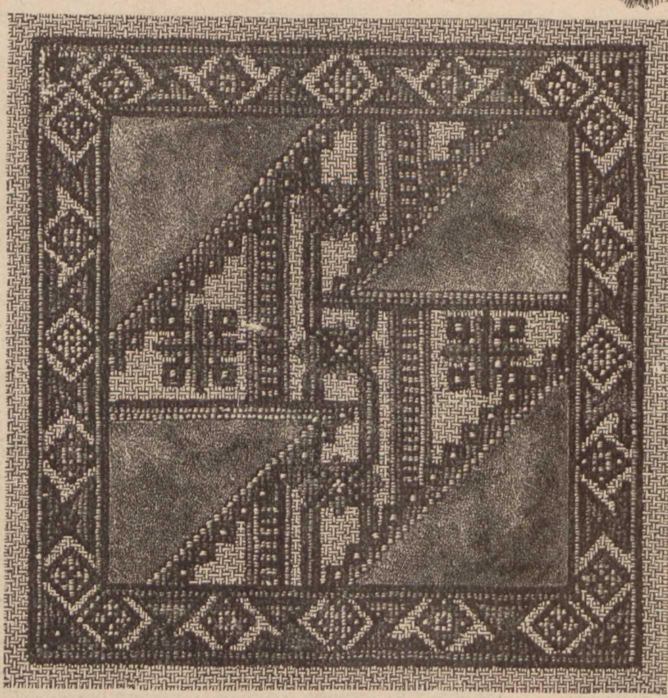
N. 24. Naszywanie piór, do ryc. 25.



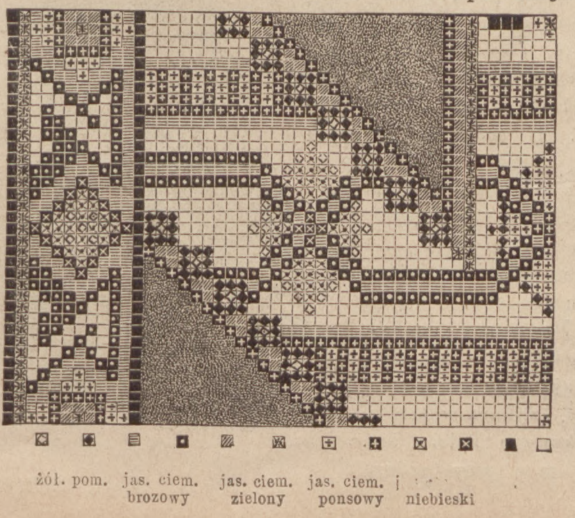
N. 30. Haft gobelinowy sznelą. Do ryc. 31.



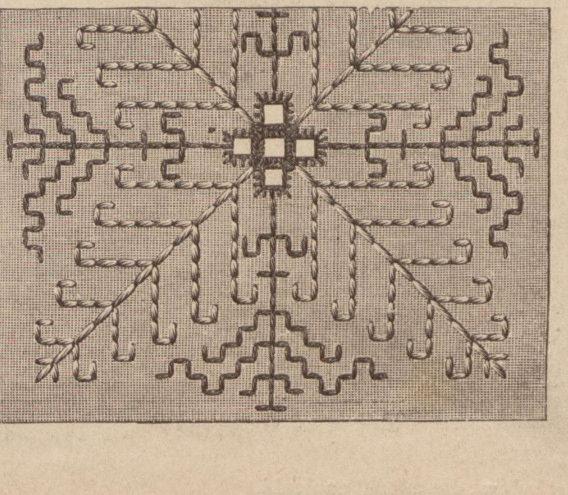
N. 25. Kołderka do kołyski naszyta piórami. Patrz ryc. 24.



N. 31. Haft na poduszkę do kanapy. Patrz ryc. 32.



N. 32. Część deseniu do ryc. 31.



N. 33. Część kwadratu do ryc. 19.

sukni ma przody szeroko otwarte i plecy zaplisowane w płaskie fałdy, dopełnione szerokim karczkiem. Kamizelka gładka atłasowa, głęboko podłużnie wycięta, podszyta jest 3 cent. szeroką wypustką z atłasu crême. Rękawy z prostych kawałków przemarszczone w bufę są u dołu dwa razy przepięte aksamitką.



N. 23. Stanik z gorsecikową kamizelką.

N. 23. Stanik z gorsecikową kamizelką.

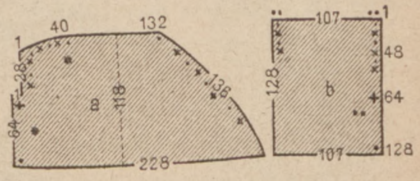
Odrobiony z zielonawo popielatej materyi jedwabnej, ma brzeg dolny podszyty bufą z żółtawej krepy. Takaż bufa wysunięta z pod bawetowej kamizelki dana z pluszu ciemniejszego koloru, a u góry z oddzielnego kawałka krepy spuszczona suta bufa, przemarszczona kilkakrotnie w górze. Brzeg stanika i mankietów oszyty błyszczącemi zielonemi kamieniami.

N. 24—25. Kołderka z piór do kołyski.

Potrzeba na nią ½ kilo. białych piór dzikich kaczek, które pierze się starannie w gorącej wodzie z mydłem i płócze w zimnej wodzie. Część piór zostaje biała, reszta farbuje się na niebiesko w farbce indygo. Zaczynając robotę trzeba piórka poodzierać od sztywnego pręcika środkowego, poczem naszywają się na kawałku perkalu, stanowiącym podstawę roboty. Kołderka przedstawiona na ryc. 25 liczy 65 cent. szerokości a 69 długości, na odpowiednim kawałku perkalu rysuje się deseń, następnie całe tło liniuje się wzdłuż w odstępach ¾ cent. i podług tych linii naszywa się piórka podług ryc. 24. Oddarte od chorągiewki włókna naszywa się wzdłuż przy każdej linii, przytwierdzając ściegami dzierganemi a układając kolory odpowiednio do deseniu. Skończoną kołderkę podszywa się lekko podwatowanym atłasem.



N. 28. Suknia z kaftanikowym stanikiem. Patrz ryc. 17 w N-rze 38.



N. 29. Wymiar draperyi do ryc. 28.

N. 26. Ubranie dla młodej panienki.

Przody i plecy bluzkowego stanika założone są w trzy kon-



N. 34. Kapelusz przybrany gazą.



N. 35. Kapelusz przybrany wstążką.

trafałdy; środkowa przednia fałda przykrywa zapięcie na guziki; wykrój szyi dopełniony szerokim marynarskim kołnierzem. Gładka spódnica z jednego boku ułożona w kontrafałdę, przewleczoną wstążką; pod tę kontrafałdę, zachodzi brzeg fartuszkowej draperyi. Z drugiego boku upięta suta szeroka szarfa z tego co suknia materyału, spadająca na tylne bryty sukni.

N. 28—29. Suknia z kaftanikowym stanikiem.
Patrz ryc. 17 w N-rze 38.

Materyał wełniany żółtawo bronzowy gładki i w jasne paski, użyty jest na suknię przedstawioną z przodu na rycinie 28 w N. dzisiejszym a ztyłu na ryc. 17 w przeszłym N-rze. Zwracamy uwagę na zgrabny stanik zapięty na dwa rzędy guzików, odwinięty w górze w wykłady pokryte aksamitem po 11 cent. szerokie, 25 cent. długie, zachodzące na siebie na kształt klapek od męzkiego tużurka. Przyszycie tych części przykrywają przody kaftanikowe z materyału w paski, z którego dana plisa brzegiem baskiny. Spódnica podszyta wąziutkiem plisowaniem, jest z materyału w paski, draperya zaś z przodu długa, z tyłu krótko podpięta, dana z materyału gładkiego. Wymiar draperyi daliśmy na ryc. 29, litera *a* oznacza część przednią na której środek wskazuje linijka kropkowana; zaokrąglony brzeg boczny fałduje się podług znaków i przyczepia przy rozporku sukni, prosty prawy brzeg puszczony gładko od kropki do krzyżyka, wyżej zaś fałduje i zszywa z tylnym brytem. Górny brzeg jest od 1 do 40 zaokrąglony i sfałdowany dalej zaś gładko wszyty w pasek. Upięcie tylnego bryta wskazuje litera *b*; górny brzeg jest od dwukropka do dwukropka zaszyty w pukiel, brzegi boczne są w górze lekko sfałdowane a prócz tego podpięte haftką przyszytą w miejscu oznaczonem dwukropkiem.



N. 36. Ubranie dla chłopczyka lat 5—7. N. 37. Ubranie dziewczynki lat 6—8.



N. 38. Przód do r. 7. N. 39. Przód do r. 41.

N. 30—32. Poduszka do kanapy. Haft gobelinowy sznelą.

Rycina 32 daje część deseniu na haft gobelinowy, wykonany sznelą na kanwie piaskowego koloru, kolory kanwy wypisane przy znaczkach, rycina 30 wskazuje w naturalnej wielkości grubość kanwy i szneli. Tło między deseniem przykryte jest pluszem ponsowym.

(*D. n.*)



N. 40. Ubranie strojne wizytowe dla młodej panienki.



N. 41. Suknia z vêtement. Patrz ryc. 39.